



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantarach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

— Chciałbym zostać Fakirem...

Widzę wielkie zdziwienie malujące się w oczach moich czytelników.

— Tak! chciałbym zostać Fakirem—powtarzam z całą powagą.

Tu już widzę nadstawione uszy i uszeta, i wielkie skupienie uwagi na słowa mające być wypowiedziane.

Zostać Fakirem!...

Po co? na co? dla czego?..

— Prawdopodobnie—tak każdy sobie ze słuchaczów w duszy tłumaczy—ażeby zadziwiać gawiedź, spragnioną zawsze denerwujących wrażeń, różnemi kuglarskimi sztuczkami, z jakich słyną mieszkańcy tajemniczego Tybetu; mieć zdolność ułagodzenia zapalczywych okularników, połykać twarde kawały niestrawnego żelaza, posiadać umiejętność otumaniania zmysłów ludzkich; siedząc spokojnie na ziemi, być wniebowziętym w oczach patrzących—oczyna wyjadać środki nierozciętych melonów, ostrzem sztyletu otrzymać zabójczy cios w samo serce—i nie umrzeć, słowem, zostać czarnoksiężnikiem, mistrzem w czarnej magii, pozyskać poklask tłumy, wielkie zrobić szurum-burum, a przytem słyszeć, jak do worka sztukmistrza grosz po groszu wpada, i jego zawartość powiększa się z dniem każdym.

Nie przeczę, że przydałaby się umiejętność, dająca możność ochronienia się od bolesnych ukąszeń jadowitych węzów; przydałaby się nieraz zdolność kruszenia zębami kamieni twardych, jak też miłem może być wyjedzenie oczyma słodkiej zawartości melonu i opancerzenie tak serca, ażeby było nieczułe na śmiertelne nawet pociski.

Lecz cóż—gdy to wszystko uluda jest tylko, zadziwiającym figlem.—Dla tak marnej zabawki nie chciałbym wcale fakirem zostawać.

Więc?...

Ha! więc—chciałbym, jak ów fakir indyjski, który podczas obchodu tysiąclecia państwa węgierskiego usnął sobie w piwnicy „Palugyay”;—tak jak on, położyć się do trumny, otoczyć się wielką ciemnością i wielkim spokojem i—choć miesiąc sobie przespąć.

Dziwaczne pragnienie, ale, kto wie, czy nie miłe przebudzenie się by było?

Bo zważcie tylko państwo moi łaskawi:

Piszę te słowa dnia 10 Maja przy zamkniętych szczelnie oknach. Po niebie brzydkie, płowe chmury się toczą, deszcz nie może się uspokoić i do niepożądanego przymusza nas kąpiele, wiatr północny wciąż w nos nam dmucha i niemiłe myśli nasuwa.

Patrzę na termometr:

Siedem stopni ciepła,—a to Maj niby.

Niedawno jeszcze, gdy dni kwietniowe były promienne i ciepłe, cieszył się ludek, patrząc na ruń zieloną, że rok ten będzie rokiem dobrego urodzaju, bo z pod osłony śnieżnej wyszło żytko jędrne i zdrowe i rosnać bujnie zaczęło. Dni były coraz cieplejsze, nadzieja rosła w ziarnach ziemian. Wzięto się do pracy i sadzono na gwałt kartofle, które są głównem pożywieniem wieśniaka. Lecz—o, nadziejo! czy nie zmienisz nigdy macierzyństwa swojego?...

W dniu 10 Maja zacząłem wertować dzienniki i dosłuchiwać się głosów z prowincyi.

Smutnel

Na polach—woda, gnije tak pięknie wyrosłe zboże, kartofle przepadły, że poraz drugi zasadzać je potrzeba, a tymczasem firmament niebieski nie rozpogadza się wcale, zbite massy chmur grożą wciąż nowym zalewem. Ha, trudno walczyć z przemożną przyrodą—może Maj w sercach ludzkich rozkwita.

Patrzę—słucham—rozważam... Oczywiście, że na myśli mam słowicze dźwięki...

Jakiś zgrzyt słyszę—i szepc:

— Brudy!... Polipy teatralne!... Coś psuje się w państwie prassyl!...

I Bóg wie z kąd podnoszą się głosy jakieś, cieknie cuchnące błotko oszczerstw z różnych stron w różne strony. Od pobryzgów tych kropelek nie są nawet wolni ci, którzy byli dobrym duchem społeczeństwa, mistrzami jego i—chlubą.

Robi się zaduch...

Już mi na myśl przychodzi, nie owa „Cieplarnia“ Meterlincka, dławiąca ludzkość—ale wprost chlewek, z którego bije słodkociepła woń odpadków. Mimowoli człek się ogląda czy do jego czystych dotąd palców nie przylgnał brud jakiś.

Prassa oczyścić się musi—zachwiana, przywrócić powagę, bo na tem cierpi ogół społeczeństwa. Niejednokrotnie notowaliśmy na tem miejscu rozdźwięk między nią a niem—może nadejść chwila rozbratu zupełnego, a przecie wpływ dziennikarstwa na ogół zakwestyonowanym być nie powinien.

Dotąd pracownik pióra miał zawsze podniesione czoło. W większym lub mniejszym zakresie działalności swojej czuł się uprawnionym do dawania rad i wskazówek, stał na szczeblu, który go, mniej więcej, nad tłum podnosił, i z jego się głosem liczone. Dziś szkalowania są wzajemne, doraźna rozprawa kulą rewolwerową, rzucanie różnych podejrzeń na ludzi, których szanowaliśmy a przez których rozbudzała się o nas pamięć, zdolnego zawsze do zapomnienia, świata—są złemi oznakami jakiegoś zepsucia, wzbieraniem zaraźliwego wrzodu, domagającego się koniecznie szybkiej ręki chirurga.

Nie uszanują nas, gdy sami się szanować nie będziemy.

Przytoczyły już pisma niektóre głosy jeden w sprawie utworzenia tak zwanego *syndykatu dziennikarskiego*, któryby miał moc rozstrzygania spraw literackich, naprawił zło i wzbudził zaufanie dziś stro-

pionego ogółu. Głos ten wyszedł ze szpalt „Biesiady literackiej” i wezwał Ludwika Jenikego do podjęcia w tej mierze inicjatywy.

Wezwany nie mógł zadość temu żądaniu uczynić. Oto przytaczamy list jego, który powinien zachęcić do zajęcia się uczciwie i poważnie tą sprawą, doprawdy niemałej wagi—lecz nie odkładania jej ad calendas Graecas.

Jenike pisze:

„Zbierzcie się młodzi, zbierzcie się i wy starsi, choć niezbyt starzy jeszcze, ale—myślcie co zrobić. Złóżcie syndykat, mający polubownie rozstrzygać sprawy literackie, syndykat, którego orzeczenia bezwarunkowo powinny być wykonywane, a jeżeli mnie wezwiecie, chętnie radą moją i wieloletniem doświadczeniem służyć będę dobrej sprawie. Na organizatora, niestety, jestem za stary.”

Rzecz więc poruszona została, w pismach naszych sprawa syndykatu powinna być rozpatrywana szczegółowo, by czytelnicy wiedzieli—jak mówi inicjator — „że światek nasz składa się nie z samych nietoperzy, że chcemy jawności czynów, jak są jawne słowa.”

Dotąd, między słowami a czynami był rozdźwięk wielki. Szlachetni młodzi i ośmielili nietoperzów do wyfrunięcia z kryjówek swoich. Koniecznym więc jest jasny i pełny promień słońca, a zmniejszą się odwaga tego ptactwa i atmosfera oczyszczona zostanie.

Rzucano już jednak pytanie: czy się co zrobi?

Sądźmy, że dobra wola i zrozumienie ważności chwili da pomyślną odpowiedź.

Tymczasem ciężko się robi na duszy człowiekowi.

Przyszłowie francuzkie powiada:

Nul est prophète dans son pays...

Smutna prawda!

Dwa pisma bardzo poczytne u nas wypowiedziały walkę panu Piotrowi Chmielowskiemu nauczycielowi, który całe jedno pokolenie wychował, a słowem, piórem i czynami stwierdził, że nigdy nie był w rozterce z dobrem, pięknem i szlachetnem. Jeżeli rozum ma wielki, to i uczciwość nie mniejszą. Niechęć osobista nie skrzywiła nigdy jego sądu; każdy z piszących mógł być pewny, że choćby w stosunkach codziennych, na bakier z panem Piotrem się było—on, mając wpływ u ogółu i siłę pióra, nie złamie niechętnego sobie, nie dotknie nawet, nie poniży talentu. Wznosi się zawsze wyżej nad obrażoną ambicję, swoje ja, takie w każdym człowieku przemożne, za dziesiątymi zostawia drzwiami, i jest spokojnym, sumiennym, bez cienia zawiści badaczem. Mylić się może, bo omyłka jest rzeczą ludzką—ale wątroby w najostrej wypowiedzianej krytyce—nie dostrzedz.

Wybaczy mi pan Piotr, że nieproszony w obronie jego stał.

Nie—obrony on nie potrzebuje.

Kto pozostawia po sobie taką monografię Mickiewicza czy Krąszewskiego, kto zyskał takie uznanie ogółu i imię głośne—kto ma za sobą dwadzieścia pięć lat sumiennej pracy—tego nie łatwo z nog zwalić. Nie wyklucza to jednak przykrości, że podobne pragnienia zdarzają się.

Ale co kraj to obyczaj.

Mam trochę gorczy w ustach, pisząc te słowa, ale ciężko się robi na myśl samą, że oł ostrza pocisków nie chronią nas ani lata pracy, ani zasługi uznane, ani życie, jak kryształ czyste.

To smutne!

I dla tego chciałbym być fakirem, położyć się do trumny, i obudzić się po pewnym przeciągu czasu i zapytać:

— A jak teraz?

Możeby na świecie zielono i jasno było, kwitły róże w ogrodach, konwalje pachły, a gwar złożony z pokłasków i poświstów słowiczych napełniał krzewy bżów rozkwitniętych i ciche, cieniste gaje? możeby niebo przestało płakać, ku górze podniosła się rtęciowa strzałka termometru, wyschły wodą zalane obszary a dobroczynne słońce, nagradzając krzywdy wyrządzone ziemi, lży deszczowe zcałowowało z pól i łąk i wydało rozkaz żdźbłom żytnim rozkrzewić się i nie zawiesić położonych w nich nadziei rolnika? Może po przebudzeniu się ujrzałbym już utworzony syndykat literacki i zagwarantowaną powagę naszego dziennikarstwa, panów zaś piszących nie biorących zbyt do serca krotoczwil-

nych żartów pism powstałych dla humoru, a redaktorów, nie szukających w kuli rewolwerowej ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy? może—może, więcej poszanowania i czei mieliby u nas ludzie, którzy sterali dla kraju lata długie swojego ciężkiego żywota, i umieraliby spokojnie, nie lękając się rzucić na zasługi już położone? I dla tego chciałbym być fakirem, położyć się do trumny, otoczyć się wielką ciemnością i ciszą a potem się obudzić, przejrzeć serca i rozumu, uczucia i sumienia i pełną piersią a czystym powietrzem odetchnąć.

Leż nie znam tajemnie mędrców tybetańskich, czuć muszę—nie wolno mi spać.

Rok obecny możemy nazwać śmiało rokiem wystaw a i nasza Warszawka się rusza i pośpiesza z ukończeniem robót swojej higienicznej wystawy. Dzięki jej, przybyło nam dwie drogi tramwajowe, dzięki jej, tym, którzy będą zmuszeni bruku warszawskiego pilnować, nie tak bardzo da się we znaki pustka ogórkowego sezonu.

— Dokąd idziesz?

— Na wystawę...

Pójdzie się tam raz i drugi, i choćby się wszystko zwiedziło i każdy zapamiętało szczegół—zawsze się pogapić będzie na co, i gdzie rzucić trochę myśli strapionych, na czemś wzrok zaczepić i umysł odświeżyć.

A jeśli i Panorama Tatr nie zawiedzie oczekiwania?...

Ha-ha!

Wystawa i takie arcydzieło sztuki!...

„Zdrowie z gór, z nizin mór,” takie nosi godło jeden z obrazów zawieszonych w głównym pawilonie wystawy. To też kto może, przed skwarem jeszcze letniami ucieka z Warszawy, ale ponieważ ja, drugi i dziesiąty, smutny wzrok tylko będziem obracać ku zakopańskiej dolinie, dla nas Panorama będzie dobrodziejstwem prawdziwym, a pomoże nam do otrzymania wrażeń rzeczywistych—złudzenie.

— Chodźmy w góry—odezwiemy się wtedy, znuzeni jednostajnością widoków ulic warszawskich...

I skierujemy się prosto—na Dynasy.

Jak pięknie!... Do koła szczyty, wiatr tańczy po polach; gwiazda karpackich wód, Morskie Oko, kołysze się u stóp naszych seledynem fal swoich... Zachwyca nas obszar, odurza powietrze, chore wzmacniają się płuca, a poruszona fantazja staje się twórczą więcej i żywszą.

— Mniej kaszle—powie suchotnik.

— Odrodziłem się—rzeknie mizantrop.

— Mam ochotę na ten szczyt się dostać—zawoła widz trzeci zachwycony pięknnością tatrzańskiej przyrody.

O cudotwórcy, dokończajcie co prędzej arcydzieło swoje i choć chwilę rozkosznych, cudnych złudzeń dajcie!

Jak jednak jest z budową, gdzie się ma owo złudzenie pomieścić—nie nie wiem; bąkano coś zrazu o złym gruncie, na którym fundamenty rotundy miały stanać, aż wreszcie odnaleziono podstawę dobrą i zaczęto robotę.

Nie zachodziłem, nie przypatrywałem się;—pragnąc złudzeń widoków tatrzańskich, innych w danej chwili nie żądam. Spacerowaliśmy już po wspaniałych bulwarach, przejeżdżaliśmy tunelami na ulicy Karowej, elektrycznymi tramwajami jeździliśmy nawet na plac higienicznej wystawy;—tylko mglistych obrazów przeszło przed nami, że już się człek mimowoli obawia, żeby i to, jak „fata morgana” nie usunęło się w głąb i nie było złudzeniem tak wiele obiecującego bieżącego roku.

„Zdrowie z gór, z nizin mór...”

Ach! gór dawajcie nam, gór—choć malowanych.

W ostatniej pogadance z wami, wspomniałem o pięknej zabawie, jaka miała się odbyć w cyrku na Ordynackim, a której celem miało być: wspanięcie kasy nauczycielek. Dni 9 i 10 Maja przeznaczone były ku temu; na wiarę moich słów, wielu czytelników z prowincji przyjechało do Warszawy i—i...

I nie nie było.

Zwrócono się tedy do mnie z pretensją.

— Ach, ty taki, ty owaki—i dlaczego tak nas oszukałeś szkaradnie? Gdzie Battistini i Michałowski, śpiewy Lutni i sceny z „Quo vadis,” które

rych wykonaniem miał się zająć p. Ludomir Szpadkowski, a twój od serca przyjaciel?..

Kreć się, wiece, w pierś się biję—ale nie kłamam, przysięgam na duszę, że nie. Moc wyzsza—popsuła szyki ludziom dobrej woli—ale na dzień 23 Maja roku bieżącego, przyjeżdżajcie... Zawodu już nie będzie—chyba... chyba...

??

Paweł Kościński.

(Wspomnienie pośmiertne).

Z naszego świata literackiego ubył pracownik dużej miary, posiadający zdolności bardzo wybitne i talent prawdziwy; w dniu 10 b. m. w szpitalu św. Ducha zmarł s. p. Paweł Kościński, dziennikarz, literat i poeta, autor mnóstwa wierszowanych i kilku scenicznych utworów, humorysta, pełen niewyczerpanych pomysłów,—pisarz nadzwyczaj płodny i w pewnym kierunku oryginalny. Na kartach *Koleców*, *Muchy* i *Kuryera Świątecznego* zabraknie odtąd tego znanego podpisu *Paul de Coś*, którego najchętniej Paweł Kościński używał. Pamiętamy wszyscy te wiersze tryskające dowcipem, żrzące, dobrym pisane językiem a z taką przytem łatwością i swobodą, że budziły zawsze zdziwienie, z kąd autor bierze w sobie tyle werwy i zacięcia. Tematów dostarczało mu życie warszawskie rozmaite i barwne; Kościński umiał patrzeć w nie, obserwować charakterystyczne cechy ludzi i wypadków, humorystyczne z nich zdejmując wizerunki. Przesuwały się w jego utworach, jak w kalejdoskopie, tysiączne odmiany typów i pojedynczych postaci, odbite w karykaturze, ale pomimo to prawdziwe i w rysunku oraz kolorycie trafne.

Kościńskiemu nigdy nie brakło wątku do pisania: chwycił myśl w lot, snuł ją na kanwie poetyckiej łatwo i wedle potrzeby urywał ją w połowie, lub rozwijał w pełny akord. Mało kto mógł się z nim porównać w szybkości tworzenia. Z tej łatwości pisania wypływały i wady utworów: pewne niewykończenie ich artystyczne i zaniedbanie czasami formy; wszelako były to tylko drobiazgi, zaledwo dające się spostrzegać w tej masie wierszy, które z pod pióra Kościńskiego przelewały się na papier i szły bez ustanku na użytek pism warszawskich.

W chwilach prawdziwego natchnienia, Paweł Kościński pisywał utwory liryczne, szczerem przeniknięte uczuciem. Życie ciężkie, pełne walk i troski, nastrojało go niejednokrotnie na ton minorowy: wtedy humorysta niknął, a zaczynał śpiewać rzewnie poeta. Wówczas ze szpalt pism humorystycznych przenosił się Kościński na karty *Tygodnika Ilustrowanego*, *Kraju* lub *Przeglądu Tygodniowego*—i zamieszczał tam liryki swoje, istotnie wzruszające i serdeczne.

Niedługo jednak pozwał nad sobą wszechwładnie panować smutkowi, zrywał się prędko do odlotu i znowu dalej pisał swe zwrotki wesołe, iskrzące się dowcipem lub kłujące ironją.

Warunki życiowe nie dały mu możności do szerszego rozwoju talentu poetyckiego, ale to, co ten talent zdziałał, starczy na wybitną indywidualność pisarza.

S. p. Paweł Kościński urodził się w Warszawie przed trzydziestu kilku zaledwie laty. Do szkół uczęszczał w Lublinie, gdzie też w szesnastym roku życia rozpoczął zawód dziennikarski, jako współpracownik *Gazety Lubelskiej*. Po przyjeździe do Warszawy, wstąpił do *Koleców*, za czasów redaktorstwa Józefa Kotarbińskiego, który od razu talent młodego humorysty ocenił. Pisywał pod pseudonimem: *Paul de Coś*, *Salomortale*, *Prawie-Heine* i t. d.

Wkrótce też Paweł Kościński odznaczył się na konkursie *Tygodnika Ilustrowanego*, na który napisał humoreskę: „Strzeż się prowizora,” na kon-

kursie *Gazety Świątecznej*, dokąd posłał utwór, p. t. „Medyk z Kosturkowa;“ oprócz tego w r. 1882 na konkursie *Echa muzycznego* otrzymał odznaczenie za sztukę mieszczańską, p. t. „Walka o córkę.“ Nadto napisał na tle życia miejskiego utwory sceniczne: „Zły duch,“ „Dziecię Starego Miasta.“ Jego monolog mają również dużą wartość, między innemi zwrócił na siebie uwagę niedawno napisany monolog, p. t. „Bobo.“

Byłby jeszcze wiele rzeczy istotnie pięknych ś. p. Paweł Kościński stworzył, gdyby śmierć nie przecięła za wcześnie jego żywota. Nie po różach stąpał, niejednej goryczy i niejednego w życiu zawodu doznał,—nie upadał wszakże na duchu i kroczył dalej przed siebie, pisząc, pisząc nieustannie.

Za to przywiązanie do pióra, za tę wierną służbę literaturze—należy mu się szczere wspomnienie; a ciało jego niech w spokoju spoczywa na tych Powązkach, które tak za życia kochał, które tylekroć opiewał i o które prosił, przy zgonie, na wieczną siedzibę...

A. Dobrowolski.

W WIOSENNA NOC.

Cicho... wiatr szumi, o liście trąca,
Gwiazdy nurugają, a blask miesiąca
Na ziemię drżący pada.
Słowik, ten szary zwiastun wiosny,
Nuci w pobliżu śpiew miłosny—
A noc go słucha blada.

Złe namiętności gasną stłumione
Spokojem nocy, żądze szalone
Wydarte z piersi—konają...
I wszystkie smutki, wszystkie cierpienia,
Żale, gorycze, bóle istnienia
Nieznacznie, cicho znikają...

Ten blask księżycy, ten śpiew słowika
I szelest liści duszę przenika,
A szum tajemny drzewa
W me biedne serce, co poszarpane
Przedstawia jedną, bolesną ranę—
Kojący balsam wlewa.

Cicha modlitwa z ust ulata
Nad ciasne kręgi tego świata,
W przestrzeń, do Boga, wysoko...
Gdzie niema smutku, ni cierpienia,
Gdzie wszystko w światłość się zamienia,
Gdy Boże spojrzy oko.

Modlitwa pada u stóp Pana
Brzenienna bólem i zmięszana,
Z jadem gryzącym zwątpienia
I dusza moja z ziemi się zrywa...
Uczuвам spokój... po licach spływa
Prawdziwa łza ukojenia.

Jan Mori.

MARZENIE.

Blady księżyc w gwiazd dyademie
Morze blasków ziemi szle,

Ciepły wietrzyk wonią dysze
I listkami drzew kołysze

Jakby pieścił je.

W róży krzaku utajony

Słowik piosnkę rzuca w dal

Nad krynicą brzoza biała

Długie sploty rozczesala

Patrzy w lustro fal.

To półmroczne oświetlenie

Czarodziejską kryje moc,

Bo w mej duszy znów powstało

Co oddawna już drzemało

W tę majową noc.

Dawnych wzruszeń wstały dreszcze

I przebrzmiałych pieśni dźwięk,

Co kołysał mię tak mile,

Słodzył życia mego chwile,

Głuszył bólów jęk.

I zda mi się... wiotkie skrzydła

Znów u ramion sterczą, drżą,

Płynę na nich w owe czasy

Płomienistych złudzeń, krasy,

Z szczęścia cichą łzą.

W górze błysnął tuż nademną

Złoty promyk gwiazdki tej,

Co się do mnie w życia wiosnie

Uśmiechała tak miłośnie,

Świecąc drodze mej.

Marzę?... czyli przeszłość owa

Z swym orszakiem barwnych snów,

Taka piękna jak przed laty,

Gwiazdzistemi zdobna szaty

Wraca w duszę znów?

Blady księżyc tonie w chmurze

Wstaje jasność dnia

Rwie się cudne złudzeń koło,

Wraca smutku cień na czoło,

I do oczu łza.

Marya Chluska.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Gdy dnia następnego właścicielka penioaru zadzwoniła do mieszkania p. Karoliny, serce Orzelińskiej zabiło oczekiwaną przykrością.

Oglądała właśnie batystowy ów kaftanik a spoglądając tu i owdzie rozmaite niedokładności czytniła sobie wyrzuty.

— Pozwoliłam nerwom wziąć nad sobą górę, roztkliwiałam się nad położeniem swoim jak dzie-

cko bezradne i o to zostałam ukarana — myślała z trwogą oczekując Wolskiej.

Na delikatność lub wyrozumiałość liczyć nie mogła. Przymioty te, nieznane były dawnej pannie sklepowej a dziś jednej z bogatszych obywaterek w mieście.

— Pani przypuszcza, że ja ten penioar wezmę? — mówiła Wolska zaperzona, każdy szczegół oglądając z drobiazgowością nadzwyczajną. — Jak te róże wyglądają? I liście krzywe zupełnie... Bardzo się dziwię, że są takie osoby które się podejmują roboty nie mając o niej pojęcia. Czy pani nie wstyd oddawać mi coś podobnego?

Potrząsała batystem tuż przed oczyma Orzelińskiej, która stała przy stole, opierając się mocno o poręcz fotela bo czuła, że nogi uginają się pod nią.

— Pani ma słusność zupełną — odezwiała się wreszcie. — Na usprawiedliwienie swoje to tylko powiedzieć mogę, że siły mnie zawiodły, ale nie lenistwo lub nieznajomość przedmiotu.

— Mnie tam wszystko jedno — zawołała rubasznie Wolska. — Kto płaci, ma prawo wymagać starannej roboty. Pani mi zrobiła zawód i strategię... Za materyał powinnaś mi pani zwrócić...

— Uczynię to z przyjemnością — odparła z godnością Orzelińska.

P. Karolina uśmiechnęła się szyderczo.

— Tak, tak! — szepnęła. — Właśnie tobie przystoi bawić się w panią. Przepraszam ją i kwita.

Orzelińska atoli kwestyę tę inaczej pojmowała. Sama widzi, że cały deseń krzywo wyhaftowała. Wolska jakkolwiek w delikatniejszy sposób mogła jej to objawić, ma jednak słusność. Jedyne zadosyćuczynienie jakie ze swej strony dać może, to deseń odrobić powtórnie ze starannością największą i oczywiście na batystę za swoje pieniądze kupionym. Westchnęła przytem głęboko, bo czas stracony i materyał, wcale niespodziewanie obciąży budżet jej wydatków. Wołała to przecież, niżeli słuchać wyrzutów w formie tak upokarzającej, bezwzględnej udzielanych.

— Postaram się złe naprawić — odezwiała się wreszcie z bladym uśmiechem, chcąc załagodzić sprawę. — Niech pani będzie spokojną. Haftowałam wyprawę dla panny Lubienieckiej i potrafiłam zadowolić... Tu wyjątkowo nie dopatryłam... Miałam silny ból głowy...

Słowa płały jej się na ustach, bo pani Karolina po za plecami Wolskiej dawała jej znaki i wyraźnie była nieukontentowana.

Wolska nagrymasiwszy, wciąż poszkodowaną udając wyniosła się nareszcie.

— Niechże pani pamięta — mówiła na odchodem — żeby to było starannie zrobione. Inaczej nie przyjmę. Pieniędzy chwala Bogu u mnie nie brakuje, ale akuratność we wszystkim lubię. Te szwaczki to nas teraz za głowy trzymają. Pani bo chociaż materyału nie ukraja dla siebie, ale inne!

Drzwi się za nią zamknęły; Orzelińska wciąż stała nieruchoma, osłupiała.

Obudził ją dopiero ostry wybuch śmiechu p. Karoliny którego syczące dźwięki burzę zapowiadały.

— No i cóż, arystokratko? — pytała ze zjadliwą ironią. — Dobry interes zrobiłaś, nieprawdaż? Jużby za ten pański pomysł które z dzieci obuwie miało... Ale po co ty masz o tem myśleć! Wszak znajdzie się taki co da, gdy ty już ostatni grosz przestasz.

— Nie mogłam postąpić inaczej — odezwiała się przykro dotknięta Orzelińska.

— Właśnie! — syknęła z oburzeniem p. Karolina. — Fumy pańskie przede wszystkim. Ale w takim razie, nie trzeba łaski od nikogo przyjmować, moja kochana. Wolska jest bogata i choćby jej 50 łokci batystu zmarnowała, nie zubożałaby. Nakrzyczałaby się, nagrymasiła, w rezultacie przebaczyłaby i wzięła penioar jaki jest... Potrzebowałaś zaraz oświadczać się, że kupisz i wyhaftujesz drugi.

Orzelińska przycisnęła rękę do czoła.

— Kochana Karolino — szepnęła zmęczona — ponieważ rzecz się już stała...

— A ty masz worek pełny — wtrąciła przerywając p. Karolina — więc wyrzuć pieniądze za okno bo ci tak duma twoja nakazuje. Ale pozwól sobie powiedzieć, że kto nie ma dachu nad głową, powinien znieść nie jedno...

— Czyż ja mało znoszę?—wyszeptała bezwiednie Orzełińska.

Słowa te sprowadziły wybuch. P. Karolina zapomniawszy o pięknej enocie panowania nad sobą, obrzuciła kuzynkę gradem wyrzutów.

— Otóż to wdzięczność — wołała na nie już nie zważając. — Sprowadziłam ich, otoczyłam opieką, przysparzałam im wtedy gdy wszyscy ich opuścili, chociaż mi ludzie mówili, że głupstwo robię, okładając się rodziną jak wrzody kataplazmami. I mieli słasność! Obecnie dopomóż, to przynajmniej podziękuj... Swoi najgorsi!

— Cóż ja takiego powiedziałam?—odezwiała się wzburzona Orzełińska.—Wyrzucasz mi ciągle łaskę i dobrodziejstwa twoje...

— Czy nie mam prawa?—przerwała nie pozwalając jej dojść do słowa p. Karolina. Jeżeliś taka pani i słuchać nie chcesz, trzeba było trzymać Zambrówkę. Zawsze ci to powtarzać będę: ciężką krzywdę wyrządziliście oboje dzieciom wyzuwając ich z ojcowizny.

Wyczerpała się cierpliwość Orzełińskiej.

Z pałającymi oczyma, z głową podniesioną dumnie stanęła przed p. Karoliną.

— Dosyć tego! — zawołała.—Widzę, że chcesz mi odebrać to jedno jeszcze co mi pozostało: przywiązanie i szacunek dzieci moich. Przypatrz się ich zdumionym twarzom. Gdyby nawet tak było, nie masz prawa szarpać bezustannie pamięci zmarłego ich ojca, nie masz prawa czynić mi bezpodstawnych wyrzutów. Czy ktokolwiek z rodziny zwrócił się do mnie po śmierci męża? Czy pospieszył z radą, pomocą? A kiedyś mi gościnność chwilową w domu swoim ofiarowała, coż mnie spotyka? Czyś mi kiedykolwiek odrobinę serca okazała? Męczarnią jest mi pobyt w twoim domu, gdzie z każdego kąta wychyla się ku mnie twarz twoja wiecznie niezadowolona. Nie mogę znieść tego dłużej.

Wybuchnęła łkaniem długo powstrzymywanem, dzieci podbiegły ku niej zasmucone, wylekły.

P. Karolina wzruszyła obojętnie ramionami.

— Skoro uważasz, że pobyt w moim domu jest ci niedogodnym...—rzekła niedbale.

W głębi duszy zadowolona była z takiego obrotu rzeczy. Kapitałik jaki miała Orzełińska zmniejszał się z każdą chwilą; p. Karolina tedy obawiała się zbyt wielkiego dla siebie ciężaru w przyszłości.

W tydzień potem wynajęła bryczkę zajęchała przed dom p. Karoliny.

Na ganku, Wacek z Irenką ubrani już do drogi radośnie klaskali w dłonie.

— Jak to dobrze Irenko, że ciocia sobie tu sama zostanie — mówił chłopiec rozpromieniony. — Przynajmniej w Warszawie bawić się będziem mogli do woli jak dawniej w Zambrówce.

Irenka wspięła się na palce do ucha brata.

— I mama nie będzie tak często płakać,—szepnęła,—bo jej ciocia dokuczać nie będzie.

Wacek pokiwał głową.

— Tak, tak! Ale wiesz co, poprosimy mamy aby nam nigdy nie gotowała tej szkaradnej kartoflanej zupy którą ciocia codziennie na obiad i kolację dawała. Brrr! Wstrząsam się... Takie szkaradziństwo!

— Mówiła mi Magdusia że ciocia jest bardzo zła i bardzo skąpa... — odezwiała się Irenka z powagą.

Zosia wbiegła na ganek.

— Chodźcie pożegnać się z ciocią; zaraz jedziemy—zawołała.

— Ja tam cioci nie pocałuję — odezwiała się z uporem Irenka.

Zosia skarciła ją surowo.

Orzełińska z p. Karoliną ukazały się we drzwiach. Ta ostatnia miała minę niepewną, zakłopotaną. W chwili odjazdu krewnych dopiero, czyn swój we właściwym ujrzała świetle. Sama przed sobą nie mogła tego utaić, że obejściem swem wypędziła wdowę i sieroty którym bądź co bądź była w możności ulżyć gorzkiego losu.

— Bardzo mi przykro—mówiła, uciekając z oczami przed smutnem spojrzeniem Orzełińskiej.—Ale niepotrzebnie uniosłaś się dumą. Ja jestem przedka i nie umiem gładkich słówek prawić...

Orzełińska nie odpowiedziała. W myśli jej powstał żal do samej siebie. Jakkolwiek pod dachem tym nie szcędzono jej bolesnych przykrości, nie

powinna była może wyrzekać się go przez wzgląd na dzieci.

Stało się! W milczeniu uściśnęła krewną i wraz z dziećmi wsiadła na bryczkę.

Konie ruszyły z miejsca.

Miasto spowite było w mgły jesienne, chmury opuściły się nisko zapowiadając deszcz bliski.

W topolowej alei która ku lasowi od miasta wiodła, wiatr szumił strząsając resztki zwiedłych liści na gromadkę wygnaneńców jadących w świat nieznaną po nowe zawody i gorycze.

Wacek i Irenka z właściwą wiekowi dziecinnemu nieopatrnością, szczebiotali wesoło. Zachwycał ich widok lasu, pól, wiosek mijanych po drodze przypominających im ukochaną Zambrówkę.

Zosia z niepokojem przyglądała się zgnęanej twarzy matki.

— Mateczko — odezwiała się słodko—jak to dobrze że teraz mieszkać będziemy z Olesiem. Mnie tak bardzo tęskno było do niego. A jaki on będzie szczęśliwy!

Uśmiechała się do matki chcąc koniecznie smutek jej rozproszyć, co jej się wreszcie udało.

Orzełińska na wspomnienie ukochanego dziecka ożywiła się nieco. Wiekiem jej się wydawały te kilka miesięcy spędzone zdale od niego.

Oleś wchodził w ten okres życia gdzie opieka matki od wielu niebezpieczeństw uchronić go może — myślała i to jej ulgę przyniosło.

Gdy w kilka godzin potem zobaczyła Olesia oczekującego ich na dworcu kolei w Warszawie, oddana radosnemu wzruszeniu, zapomniała o czekających ją w przyszłości troskach szczęśliwa, że ukochaną swoją gromadkę ma znów całą przy sobie.

Oleś dumny z roli opiekuna, powiódł matkę i rodzinę do skromniuchego mieszkanka które sam wynalazł.

IV.

Pani Helena Krasnohorska siedziała przy biurku z czołem na ręce opartem, przeglądając stopy piętrzących się przed nią ksiąg rachunkowych, weksli i t. p. Snadź nie łatwa to była praca.

Sięgnięte brwi i głębokie zmarszczki na czole o natężeniu umysłu świadczyły. Ciężkie bo zadanie zostało jej do rozwiązania po śmierci męża.

Jakkolwiek niepokoiło ją zawsze życie na wielką skalę i szalone wydatki męża, nie przypuszczała jednak aby tak rozpaczliwy chaos w ich interesach majątkowych panował.

Natarczywi wierzyiele zgłaszali się jeden po drugim; a że Krasnohorski gotówki nie zostawił, sprzedaż Zambrówki i Zarzecza zdawała się nie tylko nieuniknioną, ale gniebiła jeszcze panią Helenę myśl, czy suma ze sprzedaży tej osiągnięta na pokrycie wszystkich należności wystarczy.

Głęboko honorowa, prawa jej natura cierpiała nadtem dotkliwie że ona i córki choć bardzo skromny w porównaniu ze zbytkami do jakich nawykły, mają jednak byt zabezpieczony posiadając emeryturę, gdy tymczasem Zarzecze i Zambrówka mogą nie wystarczyć na zaspokojenie wierzyteli.

— Ach,—szepnęła zgnębiona — jak można było budować przyszłość na pożyczkach i łatwowierności ludzkiej. Co teraz począć, w obec tylu żądań niezaspokojonych, tylu słusznych pretensyj?

Wejście Amelki przerwało jej dumania.

Smukła postać dziewczęcia wydawała się jeszcze smuklejszą w czarnej żałobnej szacie, ruchy poważniejsze.

— Mamy gości mateczko, — wyrzekła dzwicznym głosem.—Przyjechał p. Dembiński. Zostawiłam ich oboje z Janią w salonie, bo zdaje mi się, że Dembiński ma coś do powiedzenia Janeczce. Gdyby tylko nie była tak uparta. Lękam się, że Jania odrzuci nieopatrzenie szlachetne, wiernie oddane jej serce. A mogła by być tak szczęśliwą!

W głosie jej zadrżała nuta rzewnego smutku która nie uszła czujnej uwagi p. Heleny.

Spojrzała na córkę badawczo i nagle przypuszczenia niepokojące ją oddawna, intuicyą macierzyńskiego serca zamieniły się w pewność.

— Jesteś trochę blada, moje dziecko—wyrzekła tkliwie wyciągając ku córce ramiona.

Amelka przytuliła się do piersi matki.

— To jeszcze pozostałość po przebytej chorobie — szepnęła, ukrywając cierpieniem zmienione rysy.

Matka ogarniała ją wejrzeniem głębokiego żalu. Pojęła tajemnicę zmiany jaką od dłuższego już czasu zauważyła w Amelce. Pojęła, że biedne dziecko walczy w cichości z cierpieniem złamanego serca, przez dumę kobiecą skrywając boleść przed wzrokiem wszystkich.

Amelka czytała w myślach matki.

— Mateczko—odezwiała się, siłą woli przywoławszy spokój na twarz pobladłą — wiem dobrze nadczem cierpisz w tej chwili. Wydaje ci się, że córka twoja jest bardzo nieszczęśliwą i złą. A tymczasem, ja zupełnie już pogodziłam się z losem. Czyż doświadczenie życia nie nauczyło cię mateczko, że szczęście nie na zewnętrznych warunkach lecz na doskonałej harmonii wewnętrznej polega. Harmonię tę, ja osiągnę, skoro życie moje stanie się użytecznem. Potrafię stworzyć sobie światek cichej pracy i spokojnych rozkoszy. Dziś już myśl sama o czekającym mnie zajęciu, napełnia mnie głębokiem rozradowaniem. Zobaczysz mateczko, że stokroć szczęśliwszą będę od wielu tysięcy kobiet, dźwigających nieraz z rozpaczą w sercu kaidany przymusowego lub niedobranego związku. Rozjaśnij czoło, mateczko najdroższa! Córka twoja nie należy do tych słabych istot, które jedna przeciwność zdruzgotać może.

Westchnienie ulgi podniosło pierś p. Heleny. Patrząc na ożywioną twarz Amelki, słuchając jej słów tchnących zupełną szczerością, uspokoiła się nieco.

Amelka pociągnęła ją do salonu.

— Oderwałam mamę od rachunków—przemówiła ze swobodnym uśmiechem witając gościa.—Mateczka bardzo pomizerniała, nieprawdaż panie Edwardzie?

Dembiński z synowską czecią rękę p. Heleny do ust przycisnął.

— Za mało się szanowna pani oszczędza — wyrzekł z serdeczną troskliwością.

— Wkrótce będę już mogła odpocząć — odparła. — W tych dniach skończy się interes z Zambrówką którą nabywa właściciel Górek. Zarzecze zaś rozparcelowane kupują chłopi.

— A coż się stanie z pałacem i parkiem?—spytał Dembiński.

— Park i pałac mają już swoje przeznaczenie—odezwiała się z rozpromienioną twarzą Amelka uśmiechając się do Cesi porozumiewawczo.

— Czy wolno wiedzieć jakie?

— Owszem; tembardziej, że niejednokrotnie pewno, światłej twej rady potrzebować będziemy, doktorze. Otwieramy z Cesią pensjonat dla pań z zastosowaniem do najnowszych wymagań higieny którą ja uważam, jako podstawę w wychowaniu. „Mens sana in corpore sano.“ Wszak tak doktorze? Wszystkie warunki mamy ku temu odpowiednie. Pałac obszerny, pokoje widne i wysokie, rzeka, park rozległy, zdrowe powietrze... Chciałybyśmy zakład nasz uczynić prawdziwym domem wychowania dla kobiety, przygotowującym ją wszechstronnie do obowiązków jakie życie na nią wkłada.—Chcemy utworzyć oddziały gospodarstwa wiejskiego w zakresie kobiecym jak ogrodnictwo, jedwabnictwo gospodarstwo nabiłowe, pszczelnictwo kucharstwo i wiele innych pomniejszych. Pali mnie już gorączka czynu—kończyła rozradowana zapalem.—A Ciebie Cesi?—zagadnęła przyjaciółkę.

Cesia ocknęła się nagle z zadumy. Myśl jej błędziła w zaczarowanym kole tęczowych złudzeń w jasnych barwach przedstawiających jej najwyższe szczęście w połączeniu się na śmierć i życie z wybranym swego ducha.

Postać Brunona wyidealizowana oddaleniem, zaskłaniała sobą wszelkie plany i nadzieje nie mające z nim związku.

Dembiński spojrzał z uśmiechem w stronę Cesi.

— Panna Cecylia myślą była w obłokach i na próżno pani usiłowała ściągnąć ją na ziemię—odezwał się żartobliwie.

Cesia zarumieniła się.

— Istotnie, zadumałam się, ale wszak wiesz Amelko, że całą duszą dzielam wszystkie twoje zamiary i chęci.

Amelka obejrzała się, szukając wzrokiem Jani.

— Gdzież jest Jania?—spytała zdumiona.—Zda-
wało mi się, że razem z tobą, Cesi, weszła do sa-
lonu...

— Panna Janina była tu, ale tylko w przelocie—
wtrącił Dembiński z goryczą, którą pochwyciło de-
likatne ucho Amelki.

— Jania jest w ogrodzie,—odezwiała się Cesia—
obiecała wrócić, gdy się orzeźwi cokolwiek. Od ra-
na już dokucza jej ból głowy.

Dembiński zwrócił się ku Amelce.

— A jakież udział przyjmie panna Janina w przed-
sięwzięciu pań?—zapytał, patrząc na nią z gorącz-
kowym zajęciem.

Amelka zarumieniła się i zawahała z odpowie-
dzą. Czuli, że to co powie, sprawi głęboką boleść
człowiekowi któremuby rada najmniejszej oszczę-
dzić goryczy.

Wyręczyła ją Cesia.

— O! Jania ma szerokie zamysły...—rzekła.—
Wybiera się do Paryża na uniwersytet.

Dembiński drgnął gwałtownie.

— Pani żartuje chyba? — wyrzekł zdławionym
głosem.

Blady był przytem bardzo i widocznie wiadomość
ta jak grom uderzyła w niego.

Amelka zmieszana spuściła oczy.

— Są to owoce propagatorskich dążeń pani Mał-
skiej i jej podobnych—wyrzekła. Jania niestety,
nasłuchiwała się tyle o podrzędnym stanowisku kobiet,
o ich prawach do równości z mężczyznami, a zbyt
młodziutką była, by w tych kwestyach mieć wyro-
bione własne zdanie.

— Mnie ten zamiar Jani niesłychanie dziwi—
odezwiała się Cesia.—Inna rzecz taka Natałka Bia-
łęcka. Ta wyjątkowo mężki posiada umysł i tak
bezpodzielnie ukochała naukę, że po za nią żadnych
niema pragnień. Ale wesoła, trzpiotowała Jania,
rwąc się do uciech życia gdyśmy opuszczały pen-
sję, najmniej chyba z nas wszystkich okazywała
chęci wtargnięcia w najeżoną kołcami dla nas ko-
biet krainę wyższej wiedzy. Nieraz rozmyślałam nad
tem, co spowodowało taką olbrzymią w niej zmianę.
Janina przypomina mi kwiat zwarzony mrozem.

Ciche westchnienie poruszyło pierś Amelki. Ona
wiedziała, co tę młodziutką pełną wiary i zapału
istotę zatruło gorzkim pesymizmem wstępem do
życia. Ach i ona przeszła przez to samo, tylko
widocznie silniejszą była, lub też różnica w ich du-
chowej naturze sprawiała, że jedne i te same przy-
czyny wywoływały odmienne skutki.

Ona w sercu swem posiadała nieprzebrane skar-
by pobłażliwości i przebaczenia dla słabych i upad-
łych, Janina nie chciała się liczyć z ułomnością na-
tury ludzkiej. Intuicyjnie odgadywała Amelka ca-
ły proces psychiczny jaki odbywał się w umyśle sio-
stry od chwili powrotu z pensji i przeczuwała, że
śmierć ojca pogłębiła jeszcze jej cierpienie, dorzu-
cając na szalę wyrzuty. Czyż nie odebrała mu
cząstkę swej miłości i należnego szacunku?

Dembiński siedział pogrążony w myślach. Przed
oczyma jego wyobraźni przesuwwały się przeróżne
typy kobiece, widywane w Paryskim uniwersytecie,
gdzie odbywał studia lekarskie. Jakże mały pro-
cent tych istot ożywał prawdziwy zapał nauki
i szczerą chęć oddania swych zdobyczy umysłowych
na usługi społeczeństwu.

Obałamucony nowatorskimi doktrynami młody
umysł, pragnienie samodzielności i chęć współza-
wodnictwa z tymi, których nie chciały uznać za
wyższych od siebie — oto co przeważnie popychało
je w objęcia nauki.

Ileż z tych niepowołanych pionierów padło w po-
łowie drogi! Ale i te rzadkie wyjątki które na sza-
cunek zasługiwały, dalekiemi były od ideału kobie-
ty jaki w duszy wypieścił.

Jedne bezwiednie, pod wpływem otoczenia i od-
miennych warunków, inne umyślnie zatracali po-
woli w sobie wszystko, co w oczach mężczyzny naj-
większy urok kobiecości stanowi.

I to jego ukochana dziewczyna którą pragnął
uczynić towarzyszką swego życia i pracownicą uży-
teczną chociaż w innym zakresie, chce porzucić ich
wszystkich, by szukać nowych dróg dla siebie.
Czyż on nie wiedział z doświadczenia że poszuki-
wanie to, częściej na manowce niżeli ku prawdziwe-
mu celowi wiedzie.

Przejęty trwogą o przyszłość ukochanej, oskarżał
siebie, że wahał się tak długo. Starannie ukrywa-

na tajemnica wrywała mu się teraz z piersi pra-
gnieniem namiętnem.

Z pewnym rodzajem tłumionego wzburzenia, od-
wrócił się do pani Heleny, którą obwiniał w myśli
o brak wpływu na córkę.

— Czy szanowna pani pochwała zamiary panny
Janiny, co do wyjazdu na uniwersytet? — spytał
wprost nie mogąc pokonać mimowolnej w głosie
szorstkości.

Pani Helena ocknęła się z zadumy. Siedziała
opodal tak mocno zamyślona, że rozmowa prowa-
dzona w przeciwległym rogu salonu, prawdopo-
dobnie uszła jej uwagi.

— Niestety!—odparła ze smutkiem—jest to dla
mnie boleść dotkliwa, lecz sprzeciwiać się nie będę.
Mojem zdaniem najwyższy cel wychowania leży
w tem, by uczynić dzieci skoro te stają się ludźmi—
odpowiedzialnymi za własne czyny.

— Zgadza się z tem w zasadzie — rzekł po
chwili namysłu — jednakże zważywszy, jak często
młode umysły bywają obalamucone i błądzą omac-
kiem szukając prawdziwej drogi, sądziłbym, że bez-
pieczniej byłoby dla panny Janiny pozostać pod
opieką matki. Czyż i tutaj nie znalazłaby pola do
użytecznej działalności jak panie obiedwie?—dodał
zwracając się do Cesi i Amelki.

— O! to zupełnie co innego...—odezwiała się Ce-
sia.—Janina jest młode orle, chce spróbować skrzy-
deł na szerszych przestrzeniach. Ją pociąga świat
odmienny od tego, który zna dotąd.

Amelka spojrzała ze współczuciem na pobladłą
twarz Dembińskiego.

— Zdaje mi się, Cesi, że tylko część prawdy od-
gadłaś—wyrzekła.—Janina...

Ta o której mówiono, weszła do salonu.

— „Lupus in fabula“ bo zdaje mi się, że o mnie
państwo mówicie — odezwiała się z uśmiechem. —
Słyszałam swoje imię...

— Roztrząsaliśmy kwestję twego wyjazdu... —
odparła Amelka. — P. Dembiński zarówno jak my
wszyscy jest temu przeciwny...

— O! to rzecz postanowiona—wyrzekła niedbale
Janina. — Skoro już tylko od mateczki uzyskałam
pozwolenie...

Przytuliła się do matki z pieśczętą.

— Ale jaką walką okupione... — szepnęła pani
Helena, nie tak cicho jednak by nie usłyszał Dem-
biński.

Na twarz Janiny padł cień smutku.

Wzrok Dembińskiego pogonił ku niej pełen py-
tań i obaw.

— Co panią skłania do tego postanowienia i jeśli
wolno spytać?

— Nuda i bezbarwność tego wszystkiego co na-
zywamy życiem, — wymówiła z cichym westchnie-
niem. — Porwana wirami pracy umysłowej w wiel-
kiem ognisku cywilizacji, zapomnę o niegodziwej
skłonności analizowania wszystkich uczuć i czynów
ludzkich.

Turkot powozu przerwał rozmowę.

Amelka wyrzała oknem.

— Rejent z adwokatem przyjechali, mateczko.

— Każ ich wprowadzić do mego gabinetu... —
odezwiała się pani Helena.—Przygotuj papiery i cze-
kaj na mnie, kochanko.

Amelka wybiegła, pani Helena zwróciła się do
Dembińskiego.

— Czy nie wie pan gdzie przebywa obecnie pani
Orzelińska?—spytała.—Potrzebuję pewnej inform-
acji przy sprzedaży Zambrówki.

— Owszem; dziś właśnie otrzymałem list od
niej...—rzekł, dobywając z pugilaresu złożoną deli-
katnie éwiartkę.

Janina mocno się zarumieniła.

Drobnem piśmem zapełnione kartki magnetycz-
nie przyciągały jej wzrok ku sobie. Jednocześnie
uczula dotkliwy ból w sercu.

Dembiński przeczytał parę ustępów.

— Sympatyczna to dla mnie kobieta — wtrąciła
p. Helena.

— Szlachetna, zacna — rzekł gorąco Dembiński.

Janina uśmiechnęła się sarkastycznie.

— Idealna, anielska, — mówi ze zřęcznie zama-
skowaną ironią.—Jakże szczęśliwym będzie ten, kto
losy swoje z nią połączy.

Odwołano p. Helenę, Dembiński usiadł przy Ja-
ninie i głęboko zajrzał jej w oczy.

— Pani Orzelińska jest właśnie typem kobiety
który każdy mężczyzna radby znaleźć w wybranej
towarzyszce życia,—rzekł z uczuciem — chociaż nie
jeździła na uniwersytet...—dodał żartobliwie.

Ciemny rumieniec oblał twarz Janiny.

— Bez wątpienia,—odparła szydersko.—Ja prze-
ciwnie; nie posiadam ani jednego z przymiotów ce-
nionych przez pana i dlatego właśnie idę na uni-
wersytet.

Cesia wybuchnęła śmiechem.

— Widzę, że zanosi się na sprzeczkę,—zawołała
wesoło.—Nie chcę służyć za świadka i uciekam.

Dembiński z Janiną pozostali sami. Jego prze-
szedł płomień gorący. Nie potrafi już zmusić serca
swego do posłuszeństwa. Raz przecież Janina musi
go wysłuchać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

(Najnowsze utwory Elizy Orzeszkowej).

Naczelne miejsce w dziale beletrystyki z chwili
ostatniej zajmują bez wątpienia trzy najnowsze pra-
ce znakomitej powieściopisarki naszej Elizy Orzesz-
kowej. Pierwszą z nich jest dwutomowy zbiór no-
wel pod ogólnym tytułem *Melancholicy*, który istot-
nie doskonale charakteryzuje występujących tu bo-
haterów lub bohaterki. Wszyscy oni są melanco-
likami w mniejszym albo większym stopniu, często
pesymistami rozczarowanymi i zniechęconymi do
życia. Autorka, której największą zasługą jest nieu-
stanne a baczne podsluchywanie bicia pulsów spo-
łeczeństwa swojego, nie mogła nie dojrzeć wśród
licznych jego objawów ujemnych i tej dość rozpo-
wszechnionej a bardzo niebezpiecznej choroby pes-
ymizmu, który, jak to zaznacza Orzeszkowa
w przedmowie swej „spełnia względem społeczeń-
stwa czynność robaka w drzewie: przegryza energię,
odbiera nadzieję, gasi zapał; a bez energii, nadziei
i zapału życie staje się płachtą czarną, zdatną tylko
do wyrzucenia za okno.“ Nie będziemy tu rozpa-
trywali tych licznych źródeł, z których wypływa ta
straszna choroba ducha, tamująca wszelki ruch
a więc postęp naprzód, a których ogólnikowy prze-
gląd daje sama autorka w tejże przedmowie, a zau-
ważymy jeno, że pesymistów-filozofów, których pe-
symizm głębiej pojęty byłby oparty na czysto ro-
zumowych wywodach i, wypływając z możliwie bez-
względnej obiektywności, stanowiłby niejako teo-
ryę naukową, nie znajdujemy w nowelach Orzeszko-
wej, bo też nie chodziło jej bynajmniej o stworze-
nie postaci typowych, których prawdopodobnie
w rzeczywistości nie znaleźlibyśmy nawet obecnie
wśród siebie, a jeno o uwydatnienie przyczyn roz-
czarowania do życia i ludzi i określenie jednostek,
które spotykamy, niestety, dość często w życiu co-
dziennym i którym dajemy zazwyczaj miano pesy-
mistów w zwyczajnem, utartem tego słowa znacze-
niu, jakkolwiek w nowelach niezawsze oni na tę
nazwę zasługują, są to bowiem przeważnie osobniki
znudzone życiem bezcelowem albo pełnem zawo-
dów i boleści, są to właściwie melancholicy tylko.

W pierwszej z tych nowel p. t. *Z pomroku* mamy
dwa kolejno po sobie skreślone warunki ludzi roz-
czarowanych do życia, nie znajdujących w niem ce-
lu, czujących próżnię w piersi, a ztąd gotowych na-
wet do popełnienia samobójstwa pesymistów; atoli
przyczyną takiego nastroju rozpaczliwego bynaj-
mniej nie było samo życie, nie doznali bowiem ża-
dnych w niem boleści, zawodów istotnych; w mono-
logu, wypowiadany przez każdego z nich, widzi-
my doskonale odbitą ich naturę i ztąd bardzo łatwo
możemy od razu wskazać, gdzie tkwi źródło ich pe-
symizmu i jaki nań może być środek skuteczny.
Pierwszy z tych bohaterów w chwili rozpaczliwej
tonące dziecko, któremu wnet pośpiesza na pomoc
z narażeniem własnego życia, czem zyskuje wdzięcz-
ność zgromadzonych wokoło ludzi, i w tej chwili
wola: „Do życia, do życia.“ Pesymista znalazł na-
gle cel w życiu, poznał obowiązek każdego człowieka

ka: pożyteczną pracę dla ogółu. Autorka kończy opowiadanie krótkim określeniem tego rodzaju ludzi: „Był on jednym z tych, których melancholia zamienia się może w szczęście przez pełny i swobodny rozwój energii, skierowanej ku czynom miłości.” Innym zgoła jest drugi typ pesymisty „zrozpaczonego”: z monologu jego widzimy, iż mamy tu do czynienia z zarozumiałcem, pyszałkiem, egoistą i próżniakiem, który marnuje życie wśród marzeń o sławie, (bo sądzi, że się geniuszem urodził), narzekając nieustannie na los, że nie obdarzył go kapitałami Rotszylda, które dałyby mu możność rozwinięcia swobodnie siłę ducha twórczego, a temsamem byłyby niezbędnym, jedynym warunkiem do osiągnięcia sławy. Wszelkie cierpienie jest wprost wstępnym dla niego, na ofiarę zapatruje się jako na szaleństwo, głupotę, a ludzi pracujących w niedostatku uważa za istoty niższe, uposłdzone i upodłone; „wyrobnik rąbiący drzewo jest i pozostanie w stosunku do mnie tem, czem żaba w stosunku do orła;” nawet ludzie, tworzący dzieła genialne pomimo niedostatku, w którym żyją, są dla niego organizacjami niższego rzędu, „bo ażeby mózgi żyć i pracować w tych ciasnych i szarych warunkach, które wytwarza ubóstwo, trzeba mieć duszę niewolniczą i niski poziom smaku.” Oczywiście czytelnik od razu spostrzeża, iż dla takiego indywidualu pieniądze dając możność używać życia i żyć bez pracy, będą najskuteczniejszym lekarstwem, to też „zrozpaczony” na wieść o ogromnej wygranej na loterii wnet się wyleczył z pesymizmu i kończy swój monolog okrzykiem: „Prędnij do życia, w świat!” „Był on—wedle słów autorki—jednym z tych, których rozpacz w szczęście zmienić mogą pieniądze. Jest to specjalny gatunek samolubzarozumiałca, spotykany w życiu w ogóle dość rzadko i tak mało dotychczas wyzyskany w powieściopisarstwie naszym, pomimo licznych oryginalnych cech swoich, wielce interesujących powieściopisarza-mysliciela.”

Następną nowelką w tym zbiorze jest *Jedna setna*, której bohater, melancholik, na śmiertelnym łożu przebiega myślą dzieje krótkiego swego życia, zmarnowanego na nieustannem próżniactwie i traceniu pieniędzy za granicą. A jednak w duchu tego człowieka była jakaś nieznacząca ledwie jedna setna częściak zażyczeń, w wyjątkowych chwilach dająca znać o sobie, ale wkrótce tłumiona poziomami żądzami. Najsilniej może uwydatnia się ona właśnie w owej przedśmiertnej godzinie, gdy człowiek umierający pod jej wpływem ujrzał zmarnowane życie za sobą, które ma się zakończyć niebawem. Jakkolwiek całe opowiadanie utrzymane jest w tonie spokojnym, jednakże odczuwamy w nim ów tragizm, który przejmie nas wskrós człowieka, widzącego straconą przeszłość i niemożność poprawy. Do melancholików także należy młoda kobieta (*Światło w ruinach*), znudzona życiem beczelowem, a budząca się do niego pod wpływem opowiadania staruszka, który zaparł się siebie dla bliźnich i wszelkie w gruncie rzeczy ofiary ze swej strony uważa za rzecz naturalną całkiem i konieczną nawet. Należy tu zaznaczyć, że w tej nowelce jak zresztą i w wielu innych autorka wskazuje pracę dla ogółu z wyrzeczeniem się wszelkich samolubnych pragnień jako jedyne lekarstwo skuteczne na pesymizm, melancholię, rozczarowanie. Melancholikami są także stary hrabia, pan możny, i dawny jego znajomy ubogi zegarmistrz, stary Berek (*Ogniwia*), którzy, przypadkiem spotkawszy się z sobą, nawzajem przypominają sobie dawno ubiegłe czasy i myślą przebiegają długi okres życia, w którym tak jeden jak i drugi doświadczyli nie mało cierpień, a obecnie czują się samotnymi na świecie, nie mając nikogo, z kim mogliby się smutkiem swoim podzielić. Obok doskonałego zestawienia z sobą dwóch tak różnych typów jak arystokraty i ubogiego żyda, podnosi znaczenie tego utworu i myśl zaena, którą już niejednokrotnie wypowiadała autorka w swych powieściach, jak np. w *Elim Makoverze*, a której nawet poświęciła gruntowniejszą osobną rozprawkę, dając w niej bezstronny, rozumny a nacechowany gorącym umiłowaniem dobra ogólnego pogląd na wzajemny stosunek do siebie dwóch narodowości. Żyda od arystokraty cała ogromna przepaść dzieli, a jednak istnieją między nimi jakieś ogniwia niedostrzegane dla zwykłego tłumu lub dla ludzi namiętnych,

stronnych, ogniwia, które łączą z sobą dwa duchy pomimo wszelkich konwenansów, wyrobionej wielkimi pogardy zobopólnej i doktrynerskich teorii, wyrosłych na gruncie nienawiści. Dzięki tym właśnie ogniwom hrabia, wszedłszy do zegarmistrza na chwilę dla oddania zegarka do naprawy, przegawędził z żydem kilka godzin aż za północ, dzięki tym ogniwom ów stary żyd wkrótce potem bezwiednie idzie za trumną hrabiego aż na sam cmentarz, który razem z żydowskim, leżącym ztąd niedaleko, „jedno wspólne niebo skuwało ogniwem wysokim i szerokim.” Obok znacznej tendencji nowelka ta odznacza się wybitnymi zaletami artystycznymi i pod tym względem ustąpić może tylko *Ascetce*, utworowi, który ma pierwszeństwo przed innymi pracami w tym zbiorze dwutomowym wobec doskonałej analizy psychologicznej głównej bohaterki. Zakonnica, siostra Mechtylda jest typem duszy zbolalej a niezmiernie wrażliwej, zamkniętej we własnym wnętrzu i usiłującej za pomocą życia ascetycznego stłumić w sobie wszystkie uczucia ziemskie i całkowicie zlać się z Bogiem myślą i duchem. Pod wpływem zawodu miłosnego zamyka się w klasztorze i po kilkunastu latach surowego, pędzonego na modlitwie, postach i biczowaniu się życia sądzi, że jest już zupełnie uleczoną z nieszczęsnego uczucia, atoli były to jeno złudzenia: przy nadarzonej okazji uczucie to znów się odzywa, wspomnienia przeszłości tłumem obiegają wijącą się w bólu kobietę, która z przerażeniem spostrzeża, że wszelkie dotychczasowe męki cielesne i gwałt zadawany duchowi nie odniosły pożądanego skutku. Z podwojoną tedy energią skazuje siebie na dalsze i surowsze umartwienia, a szczytu ich dosięga niewątpliwie w dobrowolnem pielęgnowaniu chorej niebezpiecznie na tyfus zaraźliwy dziewczynce, jednej z uczennic klasztornych, która, będąc córką dawnego jej narzeczonego, jest dla siostry Mechtyldy żywym przypomnieniem przeszłości tej właśnie, o której tak gorąco pragnęła ona zapomnieć. Jest to bezwzględnie wielkie bohaterstwo ducha natury niezwykłej, oddane w noweli przez autorkę z wielką prawdą psychologiczną i niemalym artystyzmem.

Bohater utworu p. t. *Wielki* ma ogromne podobieństwo do „Zrozpaczonego,” bowiem pesymizm jego a raczej melancholia wypływa z tych samych pobudek samolubnych, co i u poprzedniego. Cieszący się niemalym rozgłosem muzyk jest bożyszczem tłumów, ale tylko dopóty, póki skutkiem choroby nie nastąpił zanik mięśni prawej ręki, co go uczyniło nazawsze już do gry na skrzypcach niezdolnym. Wówczas odbiegł go liczni przyjaciele i wielbiciel jego talentu, którym schlebiały stosunki z artystą znakomitym, nawet i narieczona zrzeczenie cofa swe słowo, nie chcąc być żoną człowieka, który już wspomnieniem jeno niegdyś składanych mu hołdów żyć będzie. Jak za mgłą ukazuje nam autorka jedną tylko postać kobiety młodej nieznanym artystce, która, jak się zdaje, ukochała w nim nie talent jedynie, a samego człowieka, ale z nią nie zapoznajemy się bliżej w opowiadaniu, a stąd nie jesteśmy nawet przekonani, czy wistocie była to miłość prawdziwa, czy też jeno nieme uwielbienie talentu. Natomiast możemy twierdzić napewno, że gdyby cudem jakimś władza w chorej ręce wróciła, bohater nasz byłby natychmiast ze swego pesymizmu i melancholii uleczonym.

W *Braciach* kreśli Orzeszkowa dwa różne charaktery braci, z których jeden Zenon przywiązany całą duszą do ojczystego kawałka ziemi, z wysiłkiem pracuje na nim i odmawia sobie wszelkich przyjemności, widząc przed sobą zaśniejszy, idealniejszy cel w życiu; drugi Wiktor o bardziej kosmopolitycznych poglądach, wyjechałszy w obce strony, zajęty jest robieniem majątku i dba tylko o własne wygodę, nie odmawiając sobie niczego, co tylko może zadowolnić zwyczajnego filistra. Zenon—to także okaz melancholika, który może najbardziej smutnym jest dlatego, że, po wielu latach niewidzenia się z bratem spotkawszy się z nim, doznaje strasznego zawodu, że między sposobem myślenia ich obu leży olbrzymia przepaść, że brat ten ma całkiem różne ideały od tych, które on całą duszą umiłowiał.

Różnica ta zaakcentowana jest dość dobrze i oba te charaktery występują w nowelce wyraziście ze zwykłą autorce plastyką, która atoli, jak we wszystkich wogóle jej pracach, tak i tu silniej uwydatnia

się w przeprowadzeniu idei, niż w samem malowaniu typów.

Ta sama idea przewodnia służy tłem ostatniej powieści Orzeszkowej p. t. *Australczyk*; z jednej strony występują tu ludzie, którzy z zaparciem się pracują na ojczystej roli, mając przed sobą wyższe zadanie, wylęgle w zacnych piersiach ludzi, zdolnych do spełniania ciągłych cichych ofiar, z drugiej widzimy jednostki w gruncie nawet bardzo uczciwe, ale myślące jeno o własnej przyszłości i cały zapas sił swych, energii i nauki spożytkowujące na obcym gruncie i dla widoków czysto osobistych w celu wielkich korzyści materyalnych. Takim karyerowiczem jest i bohater powieści młody Roman Darnowski, który po dłuższym pobycie w stolicy, przyjechawszy do wioski rodzinnej, gdzie widzi członków swej rodziny, pracujących w pocie czoła, wyrzeka się owej świetnej przyszłości, co była dotychczas jego marzeniem jedynym, a natomiast, przejęty czcią dla idei, o której do tego czasu miał bardzo słabe wyobrażenie, ima się pracy wśród tychże samych warunków, w których żyją i pracują stryj jego, brat stryjeczny i sąsiedzi z dziecięcych lat znajomi.

Jak widzimy, sama osnowa powieści jest bardzo prostą, pozbawioną w swem rozwinięciu wszelkich efektów i zaciekawiających zwykłego czytelnika sytuacji, natomiast wielkie zalety tego utworu polegają nietylko już na uwydatnieniu niesłychanie ważnej dla nas kwestyi społecznej, ale i na dokładnem odmalowaniu psychicznych zmian, zaszłych w krótkim czasie w duszy bohatera, i na należytem ich umotywowaniu, dzięki czemu postać Romana Darnowskiego staje się dla nas zupełnie zrozumiałą i nie razi żadnem nieprawdopodobieństwem; jeśli bowiem będziemy mieli na myśli te znaczniejsze pierwiastki duchowe, które tylko drzymały przez pewien czas w ukryciu w głębi jego piersi, i jeśli następnie rozważymy te wszystkie wpływy, którym on stopniowo ulegał od czasu swego przyjazdu na wieś, poczynając od owych niewyraźnych obrazów z przeszłości, zarysowujących się w jego myśli na widok miejsc rodzinnych, a kończąc na wysłuchaniu nabożeństwa w kościełku wiejskim w dniu Matki Boskiej Zielnej, gdy patrząc na modlących się wieśniaków wobec krzyża Chrystusa, który, jak się zdawało, mówił: „Za was i dla was,” doświadczył uczucia, jakby „własne jego serce wchodziło w inne ogromne bardzo, wypełniające sobą kościół od dołu do szczytu; to małe serce łączyło się z tem ogromnem, razem z niem uderzało, płoło”—musimy przyjąć do przeświadczenia, że bohater tylko tak, a nie inaczej musiał w powieści postąpić. A właśnie takie wskazanie naturalnej drogi rozwoju uczuć i myśli lub przemian nawet gruntownych w duszy ludzkiej jest jedną z najważniejszych zalet artystycznych powieści, autorka w zupełności wywiązała się z tego zadania w swoim utworze, a zasługa jej pod tym względem będzie jeszcze większą, gdy zważymy, z jakimi to trudnościami musiała się łamać; z jakimi liczyć warunkami, aby uplastyczyć myśl przewodnią i uczynić ją dostępną dla szerszego ogółu czytelników.

Zupełnie odmiennej natury jest prześliczna, pełna blasków słonecznych nowela p. t.: *Pieśń przetrwana*, opowiadająca krótkie bardzo dzieje pierwszej miłości młodej córki ubogiego urzędnika, Klary Wygryczówny, która przypadkiem spotkawszy w ogrodzie księcia Oskara, udającego przed nią swego sekretarza i powiernika Przyjemskiego, zapalała od razu ku niemu głębokim, namiętnym uczuciem. Jednakże ta cudowna sielanka miłości, zrodzona i rozkwitła na tle pięknego ogrodu ubogiego dworku Wygryczy i graniczącego z nim parku pałacu należącego do księcia, trwała zbyt krótko: przypadkiem w chwili największego uniesienia, spotęgowanego dochodzącymi zdala od pałacu książęcego dźwiękami muzyki tęsknej, Klara dowiaduje się, że ten, w którego namiętnym uścisku tonie, jest właśnie księciem Oskarem, nie zaś jak i ona ubogim szlachcicem Przyjemskim, który mógłby zostać jej mężem. Pieśń miłości, rozpoczęta tak cudnie przez młodą dziewczynę, nagle się przerywa „jak sen jaki złoty,” a natomiast pozostaje straszną rzeczywistość i wspomnienie kilku dni rozkosznych. Jest to pogodny, poetyczny obrazek, o niesłychanie żywych i rozmaitych barwach,

stanowiący wśród drobiazgów naszej literatury nadobnej prawdziwą perełkę, której najważniejszą cechą jest wielki liryzm, owiewający nadzwyczaj misternie w szczegółach odrobioną całość. Atoli i tu Orzeszkowa, jako autorka nawskróś tendencyjna, nie złożyła hołdu jeno sztuce dla sztuki: poza artyzmem, poezją możemy łatwo spostrzedz i myśl przewodnią, widoczną w końcowych wierszach utworu, gdy książę, zmartwiony utratą Klary, odpowiada głośnie wybuchem śmiechu sekretarzowi Przyjemskiemu, który mu nieśmiało radzi ożenić się z biedną dziewczyną. Myśl podobnego megaliansu, mogła powstać w głowie tylko takiego naiwnego sekretarza!

Tak się przedstawiają w całości swej najnowsze prace Orzeszkowej.

Są one jak gdyby dalszym ciągiem napisanych przed laty powieści, bowiem widzimy w nich też same tendencje i myśli przewodnie, ten sam sposób kreślenia charakterów i zdarzeń, tę samą przewagę idei nad formą, wreszcie toż samo głębokie ukochanie dobra ogólnego, co jest jedynym może bodźcem, a niewątpliwie najsilniejszym długoletniej a ciężkiej pracy autorki na polu piśmiennictwa. Bezwątpienia zawiódłby się ten, kto by w jej utworach chciał szukać, jakichś scen zaciekawiających, powikłań w fabule, obliczonych na wywoływanie efektu większego, bowiem prostota właśnie, zarówno w stylu, jak i w ugrupowaniu faktów, jest jedną z charakterystycznych cech talentu Orzeszkowej, która nie jest wprowadzić mistrzynią, jak, dajmy na to, Sienkiewicz w subtel-nem cieniowaniu najdrobniejszych objawów duszy człowieczej, a i niejednokrotnie, zwłaszcza w początkowych swoich utworach, zdradza pewne zaniedbanie artystycznej strony utworu, co staje się widocznym w uszeregowaniu i konsekwencji faktów lub w odrobieniu architektonicznym części składowych, ogólnej budowy powieści, natomiast zajmuje ona najniewątpliwiej przodujące stanowisko w szeregu najwybitniejszych naszych talentów powieściopisarskich, a to ze względu na te różnorodne, a niesłychanej wagi kwestje społeczne, potrzeby, zadania i cele ogółu, których nikt ze współczesnych nie poruszył i nie rozpatrzył tak wszechstronnie i z taką głęboką miłością dobra publicznego, jak to widzimy np. w *Rodzinie Brochwi-czów Pamiętniku Wacławy*, *Nad Niemnem*, *Elim Makowerze*, *Dwóch biegunach* i t. d. Dając przez całe swe życie ogółowi, pokarm pożywny a zdrowy, Orzeszkowa śmiało może o sobie powtórzyć słowa Kraszewskiego: „Piekłem ten chleb razowy dni powszednich. Mogły się w nim znaleźć i oście, i otręby, być może, ale zakalca nie było. Nie siałem nigdy niezgody, rozbratu, nienawiści, nie rzucałem nigdy kamieni ani na żywych, ani na groby; miłość starałem się wlać w słowa moje.“ Wierzmy całym zasobem wiary, że głos, rozbrzmiewający potężnym echem w utworach naszej powieściopisarki, nie będzie głosem wołającego na puszczy, że słowa jej nie pójdą na marne.

J. Nitowski.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 1 Maja.

Anemja polityczna coraz bardziej pogrąża Francję w straszny rozstrój, który ją może przyprowadzić do poważnej politycznej choroby.

Przesilenie gabinetowe nie zmieniło o wiele sytuacji, i czuć w powietrzu olbrzymiego miasta, iż lada chwila nastąpi coś, czego dziś bliżej określić nie podobna, chociaż obawiać się można wielu rzeczy.

To też wszyscy oczekują czegoś z pewnego rodzaju obawą.

Kilka dni temu owe przeczucia o mało się nie sprawdziły, gdyż kilkudziesięcny tłum chciał wywołać rewolucję na ulicach Paryża. Dzienniki rady-

kalne i monarchiczne podkopują też spokój tutejszych mieszkańców, burząc umysły rozmaitemi poduszczeniami na osobę prezydenta oraz na cały obecny ustrój państwowy.

Niektóre z nich jak np. dziennik „Jour“ utrzymuje stanowczo iż dymisja Faure'a jest już tylko kwestją niedługiego czasu. Może więc tedy niezadługo nastąpi kryzys przesilenia prezydialnego, a wtedy niewiadomo co nastąpić może. Tymczasem prezydent pełni obowiązki gościnnego gospodarza, świetnie podejmując bawiącego tu obecnie księcia Ferdynanda Bułgarskiego i całą jego świtę.

Pomimo zachmurzonego politycznego horyzontu Paryż nie zapomniał o dorocznym święcie sztuki. jakim jest otwarcie Salonów na Polach Elizejskich i Champs de Mars, który zawsze najwcześniej otwiera swe podwoje.

Dagnan Bouveret, Puvis de Chavannes i John Sargent za dzieła wystawione otrzymają niezaprzeczoną palmę pierwszeństwa. Pierwszy z nich wystawił przepyszną wykonaną i skomponowaną „Wieczerną Pańską“, o której nie wiem jeszcze co powie tutejsza krytyka,—co do mnie jednak, śmiem ją nazwać arcydziełem kompozycji, wyrazu, kolorytu, rysunku i stylu. Podobnie jak w kompozycji Leonarda Vinci, Chrystus stojąc, ubrany w białą szatę, odstającą od całego tłą obrazu, podnosi boską czarę do ust, wymawiając pamiętne słowa „Pijcie, gdyż to jest krew moja.“ Wyraz twarzy przysłego męczennika jest pełen rezygnacji i cierpienia; oczy patrzą w dół ze smutkiem i goryczą, zdając się przeczuwać przyszłe męki na Golgocie. Z całej postaci widnieje niebiański wyraz spokoju i melancholji, tworzący kontrast z pospolitemi twarzami otaczających go słuchaczów.

Figury Ś-go Piotra, Ś-go Jana, Ś-go Mateusza i Judasza są też doskonale wykonane, bo nie ma też w całym obrazie ani jednej figury niedbale traktowanej. Wogóle cała kompozycja jest jednakoowo opracowana bez owych *trous*, jak się zazwyczaj artyści wyrażają. Widnieje z niej szczere uczucie i natchnienie, co w połączeniu z wybornym wykonaniem stawia znakomitego artystę na czele mistrzów francuskiej sztuki.

Eschyl Puvis'a de Chavannes uosabiając dramatyczną poezję jest też mistrzowskim dziełem wielkiego artysty. Wyobraża on greckiego poetę w złotym laurze, słuchającego skarg Oceanid, malowniczo ugrupowanych w około skały, do której przykuty języczy nieszczęsny Prometeusz. Dzieło to nacechowane wszelkimi zaletami mistrza, przeznaczone jest do biblioteki w Bostonie.

Oprócz tej dekoracyjno-allegorycznej kompozycji wystawił Puvis de Chavannes kilka rysunków, które są prawdziwymi arcydziełami.

Trzecim znakomitem dziełem tegorocznego sezonu na Champs de Mars jest artystycznie wykonany portret przez amerykańskiego malarza Sargent'a, niegdyś ulubionego ucznia wielkiego Karola Durand. Przejął od swego znakomitego mistrza piękny układ i prześliczny koloryt, a nawet można powiedzieć, że te zalety posiada dziś w większej mierze od swego byłego przewodnika. Portret przedstawia młodego człowieka o delikatnych i dystygowanych rysach twarzy, w odtworzeniu których tak się lubował van Dyck. Pendzel Sargenta wydobyl też wiele piękności w odtworzeniu wyrazu twarzy, w doskonałym rysunku całej postaci, a szczególnie pięknie narysowanych ust i szlachetnej tonacji kolorów, zlewających się w łagodną harmonijną jedność. Portret ten jest niezawodnie najlepszym okazem amerykańskiej malarskiej sztuki.

Obok tych prawdziwych arcydzieł współczesnego malarstwa mieści się jeszcze kilkanaście doskonałych obrazów, które pobieżnie zanotuję, mianowicie: dwa ładne rodzajowe obrazy Friant'a, „Pożegnanie“ i „Emigranci“ Meuniera—obydwa nacechowane siłą potężnego wyrazu. Tą samą zaletą odznacza się piękny obraz niderlandzkiego malarza Józefa Izraels'a, przedstawiający, dwie rybaczki, oczekujące powrotu mężów nad brzegiem rozhukanego morza.

W tym samym rodzaju godne są też zaznaczenia obrazy Crochepierre'a, Perret'a, Janniot'a; jest także kilka pięknych obrazów, przedstawiających sceny z życia wiejskiego, oraz znakomite pejzaże Cazin'a, Binnet'a, Montenard'a i kilku innych. Są

też znakomicie oddane pejzaże morskie Mesdog'a, Hagborg'a i Harrison'a.

Tak zwane „nagie ciało“ (le nu) ma doskonałego wykonawcę w panu Aublet, który z niezwykłą maestryją oddał efekt światła w swej pięknej kompozycji zatytułowanej *Niespodzianka*.

Dobrych portretów jest także spora liczba. Wykonawcami ich są Courtois, Zorn, Weerts, Edelfelt, Alfred Blanche.

Obok Sargent'a widnieją też trzy portrety słynnego Carolus'a Durand, z których najpiękniejszym jest portret dziewczynki w czerwonej sukience.

Roll wystawił niedokończony portret Dumasa syna. Głowa jednak jest zupełnie wykonana i pełna żywego podobieństwa.

Jan Beraud dał portret młodego ks. Henryka Orleańskiego; niezbyt jednak szczęśliwie udało mu się wykonanie i kompozycja.

Pomiędzy rysunkami wyróżniają się piękne ilustracje Renouard'a i rysunki Guillaume'a.

Z pastelii najpiękniejsze są prace Carrier-Belleuse'a.

Rzeźba jak zwykle słabo reprezentowana na polu Marsowem, pomimo iż wystawiają tacy artyści, jak Rodin, Baffier, Bartholomé, Desbois i kilku innych.

Desbois wystawił w osobnej salce przeszło trzydzieści dzieł, odnoszących się do wspaniałej grupy „Śmierć“ a jego Ledę można śmiało nazwać muzealnym okazem starożytnej Romy.

Wystawa obrazów Camille'a Pissaro, urządzona na ulicy le Peletier, zwróciła powszechną uwagę tutejszych miłośników sztuki.

Pissaro jest artystą o poetycznym nastroju ducha, wielbiącym naturę i słodczye rodzinne życie. Najlepsze z wystawionych obrazów są „Lavoir dans le pré“, „les peupliers“, „printemps“, „pommiers en fleurs“, i wspaniała, cudowna łąka. We wszystkich dziełach doskonale jest uchwycone wrażenie światła, powietrza i koloru, dlatego też artysta zasłużył na rzetelne powodzenie.

Do wiadomości z dziedziny sztuki zaliczam też śmierć znakomitego malarza, E. Dueza, zmarłego parę tygodni temu prawie nagle.

Celował on przedewszystkiem jako wyborny wykonawca pejzażów morskich, kwiatów i w ogóle plaine-air'u. Wykonał również bardzo wiele portretów i rodzajowych obrazów. Na wszystkich nieomal wystawach i we wszystkich oddziałach figurował zawsze jego dzieła, gdyż oprócz olejnego malowania był doskonałym akwarelistą i pastelistą. Przytem jako człowiek światowy, wykształcony i koleżeński był powszechnie lubiany.

Z muzyki mam do zanotowania koncert panny Heleny Krzyżanowskiej, jaki się odbył kilka tygodni temu, (P. K. wystąpiła z oratorium własnego utworu) oraz koncert p. Wł. Górskiego, wykonany w sali Erarda ze współudziałem Stojowskiego i amerykanki Joanny Gréty. Nie mogę pominąć mil zeniem premjery w Wielkiej Operze, czteroaktowej opery *Helle* znanego tutejszego profesora konserwatorium Alfonsa Duvernoy. Libretto napisali Kamil du Locle i Karol Nutter, dając zlepek niezręcznie powiązanych rozmaitych legend.

Muzyce też brak oryginalności, chociaż jest kilka udatniejszych ustępów i dobrze odśpiewanych przez pierwszorzędných artystów.

W Folies Dramatiques dano nową operę komiczną *La Falote* z łatwą muzyką Varney'a która jednak w niczem nie przechodzi zwykłej miary.

Za to w Varietés wystawiono z niezwykle bogatymi przyborami doskonałą muzyczną farsę Hervé'go p. t. *L'oeil crevé*, na którą cały Paryż chodzi się uśmieć. Zabawnego libretta nie przytaczam, zaznaczając jedynie, że libretto i muzyka trzymają się doskonale i niezmiernie bawią widzów, o co właśnie chodzi na tego rodzaju przedstawieniach.

Najbardziej jednak uwagę ogółu zwróciła czteroaktowa sztuka Abela Hermault p. t. *La Mentte*; nie tyle może swoją istotną wartością literacką, ile głośną awanturą, wybuchłą z powodu jej wystawienia pomiędzy młodym autorem a księciem de Sogan, który się uczuł obrażonym analogią zestawionych w sztuce faktów z jego rodzinnymi sprawami. Książę sam posłał wyzwanie autorowi i odbył się pojedynek bez krwawego wyniku; to jednak przeciwników nie pogodziło. Tak więc Abel Hermault

stał się odrazu bohaterem dnia, co może korzystnie wpłynąć na jego teatralną karierę. W powieściach, których już wydał sporą liczbę, cieszył się także powodzeniem, ale nieraz miewał już rozmaite zatarci z powodu zawartej w nich ostrej satyry.

Ostatnią godną zaznaczenia nową sztuką są „Dwie siostry“ Jana Thorela, wystawione w Odeonie. Sztukę tę można nazwać raczej studium psychologicznym; dwie siostry kochają jednego mężczyznę. Akcja rozgrywa się na wsi w Bretanii w otoczeniu doskonale narysowanych, typowych figur. Słusznie też krytyka życzliwie przyjęła nowe dzieło młodego autora.

Książę Ferdynand Bułgarski obdarzył Franciszka Coppée'go własnym portretem z dedykacją w dowód uznania za napisanie dramatu p. t. *Pour la couronne*, który został przetłumaczony na język bułgarski.

Wyrokiem sądu kasacyjnego zabroniono ostatecznie Coquelin'owi występów na scenach francuskich pod karą 500 fr. od występu, Komedya więc sprawę ciągnącą się oddawna nareszcie wygrała, ale dla tak wielkiego artysty kara jest łatwą do zniesienia i Coquelin będzie grywał na scenach francuskich, płacąc za każdym razem nałożoną karę, a i tak jeszcze pozostałe honorarium stanowić może grubą sumkę.

Ślub księżniczki Orleańskiej z Patrycem MacMahonem wywołał tutaj niezwykle ożywienie w wielkim świecie, nie odbyło się też bez komentarzy i rozmaitych domysłów, co znów rzeczywiście mało powinno obchodzić młodą i sympatyczną parę.

Niedawno zamknięty kongres kobiecy narobił też tutaj wiele wrzawy, tembardziej że każde posiedzenie było nader hałaśliwe i niezgodne. Obradowano nad wieloma palącymi kwestyami, a wszystkie burzliwie były roztrząsane. Widocznie współczesne kobiety wszystkich krajów mają strasznie z ujętym nerwem, kiedy nie w skupieniu ducha wysłuchać nie umiały, a na zebraniach panowały taki zamęt, że przychodziło nawet do wzajemnego sobie wymyślania. Ku końcowi zjazdu zaczęto jednak powoli się uspokajać i po kilku przemówieniach zgodnie zdecydowano, aby się domagać czynnego i biernego prawa wyborczego dla kobiet tak zamężnych jak i wolnych. Dalej postanowiono, aby następny kongres kobiecy odbył się w Paryżu za lat cztery, co wypadnie jednocześnie z wystawą powszechną 1900 roku.

Jeszcze większym rozgłosem, niż kongres kobiecy, cieszy się prorokini i jasnovidzka, niejaka p. Henryetta Couédon, która nagle pojawiła się światu przy ulicy de Paradis pod Nr. 40 w mieszkaniu swoich rodziców i codziennie jest oblegana przez tłumy ludzi rozmaitych warstw społecznych, przychodzących po radę do młodej i powabnej prorokini, lub też poprostu wysłuchać jej zatrważających dla Francji przepowiedni.

Młoda jasnovidzka przepowiada rychłą zgubę Francji, która musi odpokutować za swą bezbożność, dumę i rozpasanie namiętności. Ze wszystkich miast Francji Paryż najbardziej ma uleść zniszczeniu. Spalone zostaną jego piękne gmachy, Opera, ratusz, giełda, bazylika Sacré Coeur na Montmartre. Epidemiczna zaraza zdziesiątkuje mieszkańców. Wtedy dopiero nastąpi zwrot grzeszników do prawdziwego Boga, i wtedy Bóg grzesznikom przebaczy i zesła im wybawiciela w osobie króla, który za boskim rozkazem pojawi się w chwili niebezpieczeństwa i wybawi naród od zagłady.

Anioł nawet już ukazał kilkakrotnie pannie Couédon obraz przyszłego króla, odzianego w insygnia królewskie.

Sława jasnovidzkiej rozeszła się tak szybko na paryżkim bruku, iż dostać się dziś do niej przycho-

dzi z wielkim trudem: trzeba się na jaki tydzień naprzód zapisać i dobrze opłaci audyencyę.

Towarzystwo psychologiczne chcąc rozwiązać tę mistyczną zagadkę wydelegowało z grona swego komisję w celu lekarskiego zbadania panny Couédon. Otóż przewodniczący komisji zaświadczył przed towarzystwem, że p. Henryetta nie jest ani obłąkaną ani też nie cierpi na wielką histeryę, — podlega jedynie lekkim napadom histerycznym, więc jej przepowiedni nie można brać na karb nie-normalnego stanu umysłowego. W takim razie pozostaje pannie Henryecie tylko jeden tytuł — niezupełnie świadomej oszustki.

Panna Couédon śmieje się jednak z tych wszystkich naukowych wniosków, gdyż ciekawi ludziska gniotą sobie żebra przed jej drzwiami, aby tylko choć zdaleka ujrzeć czarnowłosą prorokinię.

Na żałobnej karcie zostało zapisane kilka wybitnych imion.

Baron Maurycy Hirsch, znany bogacz i filantrop, z wielką okazałością pochowany został na cmentarzu Montmartre. Najpierwsze rodziny kraju i przedstawiciele świata politycznego i finansowego postępowali za zwłokami zmarłego. Pomimo rzeczywistej kolosalnej fortuny, a może właśnie z powodu jej posiadania, baron Hirsch nie był wcale szczęśliwy. Doświadczenie życiowe zrobiło z niego zupełnego sceptyka. Sądził, iż każdego pieniędzmi zdobyć może. A pomimo to mało kto tak poczuł swoją niemoc, jak zmarły baron. Były takie rodziny, które pomimo wszelkich usiłowań, Hirscha, bajecznej jego fortuny i filantropijnych czynów nie chciały zaliczyć głośnego na cały świat barona do liczby swych znajomych.

Zresztą baron Hirsch był — rzec można — wielkim panem i wielkim parwenjuszem zarazem. Obiega o nim po świecie tysiące anegdotek, które malują go z tych dwóch tak odmiennych stron. W czynach brakło mu często równowagi i przez to wielu ludziom się narażał. Opowiadają, że spadkobiercy barona nie mają jego pańskiej buty i wspaniałomyślności, posiadają za to w spadku jego miliony i wysoko rozwinięty zmysł praktyczny.

Niespodziewanym wypadkiem była również śmierć Leona Say'a, słynnego ekonomisty, byłego ministra finansów, członka francuskiej akademii, zaszczyconego wieloma jeszcze innymi godnościami i tytułami. Był on jednym z tych, którzy brali najczynniejszy udział w losach trzeciej Rzeczypospolitej. Kilka dni temu przemawiał Say po raz ostatni w izbie deputowanych przeciwko projektowi nowego podatku dochodowego.

Ubyła też znana całemu Paryżowi figura Ferdynanda Duvala, radcy miasta i zagorzałego orleanisty, zmarłego w zeszłym tygodniu. Panny Anaïs Fargueil, sławnej aktorki, znakomitego pedagoga M. Marion'a, oraz powszechnie lubianego nestora izby deputowanych, Piotra Blanc.

Ochłodzenie temperatury, wywołane zapewne gradem i śniegiem, spadłym kilka dni temu, dało nam się uciec srodze.

Nie wpłynęło to jednak ujemnie na świetną uroczystość „wernisazu“ w Salonie na Polach Elizejskich.

O nagromadzonych tam dziełach sztuki napiszę w przyszłej korespondencji.

C. H.

Kronika działalności kobiecej.

— W Szwecji kobiety odbywają studia prawną i zostają adwokatami; jedną z pomiędzy nich, odznaczającą się w swoim zawodzie, jest F. Fischer, odbyła ona w Helsingforsie kurs nauki prawa, gdzie obecnie praktykuje z powodzeniem i ma znaczną praktykę. Kobiety zwracają się do niej licznie zwłaszcza w sprawach rozwodowych.

— W Berlinie podnoszą się liczne głosy, że kobiety wypierają mężczyzn z różnych stanowisk w handlu i urzędach, a nie dzieje się to wskutek dokładniejszej pracy kobiet, ale że pensje ich są niższe. Jedno z wielkich Towarzystw ubezpieczeń na życie w Berlinie zatrudniało przeszło 300 mężczyzn, ludzi młodych z pensją od 60 do 120 marek miesięcznie, obecnie mieści się tam 150 dziewcząt, pobierających od 30 do 75 marek miesięcznie, na czem Towarzystwo oszczędza w przeciągu miesiąca 7,000 marek, a dzieje się to samo w różnych zawodach; w zecerstwie, złotnictwie, w stenografii. Mężczyzna stenograf pobierał 150 marek miesięcznie, obecnie został usunięty, bo kobieta zadawała się 30—40 markami a rzecz powtarza się w różnych gałęziach pracy.

— Kobiety niemieckie otrzymują dochód znaczny z ogrodnictwa. Cebula, którą uprawiają starannie rozcłodzi się na różne strony, do Szwecji i Norwegii. Handel nasionami cebuli opłaca im się bardzo dobrze. W Anglii dochód znaczny dają kwiaty, tak doniczkowe jak cięte w bukietach, a zajmują się ich dostawianiem panie ziemianki.

— Miss Cecylia Mac Huston, panna doletnia, postanowiwszy sobie nie iść za mąż z powodu iż narzeczony jej zginął w wojnie za Anglią, gromadzi w koło siebie liczne grono ubogich dzieci i uczy ich śledząc ze starannością matki ich skłonności i obdarowania. Wychowała już bardzo starannie pięć dziewczynek, z których jedna okazuje wyższy talent malarski, dwie kształcą się na lekcji, dwie pragną zostać nauczycielkami wiejskimi, i gdy jej ktoś z krewnych czynił uwagę że smutnem będzie jej życie samotne, odparła że znajdzie sobie zawsze sposobność spełniania obowiązków miłości bliźniego.

— Pierwszem czasopiśmie w Indjach Zachodnich jest tygodnik założony przez miss Fridę Cassin, pannę liczącą lat dwadzieścia cztery, której narzeczony zginął w walce za Anglią a ona zamożna i bardzo ładna już po jego zgonie iść za mąż nie chciała. Gdy jej czyniono uwagi, że smutno jest być samotną na świecie, odparła, że otacza ją rodzina liczna — ludzie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: ark. 1-szy powieści p. t. *Fata Morgana*, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Paweł Kościński. (Wspomnienie pośmiertne), przez A. Dobrowolskiego. — W wiosenną noc, przez Jana Mori. — Marzenie, przez Maryę Chluską. — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego. — Nowiny paryżkie, przez C. H. — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: *Fata Morgana*, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 1-szy. — Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.